

OPIUM DLA LUDU W 10 ODSEONACH

RW2010

DEMO

KISMET

Grzegorz

Piórkowski

DO DIABŁA Z
BOGIEM

DO DIABŁA Z BOGIEM
antologia opowiadań fantastycznych
pod redakcją Dawida Juraszka

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014
Redakcja: Joanna Śłużyńska
Korekta: Robert Wieczorek
Copyright © Oficyna wydawnicza RW2010
Okładka Copyright © Maciej Kaźmierczak 2014
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014
e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-117-9

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów
w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Patronat medialny nad powieścią objęli:

FantastykaPolska.pl
Nowe oblicza literatury



ŚWIT_EBOOKÓW

Spis treści

Grzegorz Piórkowski: Kismet	5
Bartłomiej Dzik: Smak raję	41
Stanisław Truchan: Nie ma miejsca na Złoty Wiek	58
Prolog.....	58
Część I Znaki.....	62
Część II Papirusy.....	78
Część III Ocean.....	93
Część IV Woda i ogień.....	106
Epilog.....	129
SŁOWNICZEK.....	131
Hanna Fronczak: Za pięć dwunasta	134
Karolina Cisowska: Humanitarna minimalizacja strat	166
Anna Dominiczak: Kozetka	186
Paweł Ciećwierz: Na pohybel	225
Pieśń niewinności i doświadczenia.....	225
Matka noc.....	250
Love story.....	251
Dzieci Hioba.....	263
Statek szaleńców.....	296
Joanna Maciejewska: Wszyscy jesteřmy bogami	314
Istvan Vizvary: Czterdzieste siódme wcielenie Bernarda V.	360
Dawid Juraszek: Powrót syna	406

GRZEGORZ PIÓRKOWSKI

KISMET

Wracasz do kraju, wydaje się, że wybiłeś ich już tam na froncie wszystkich, a tu proszę, organizują zamach na papieża.

Nieudany.

Papież w Częstochowie, akurat defilada, nowe mięso idzie na front, on je błogosławi, potem jedzie sobie tym swoim wozem opancerzonym, wiwaty, i nagle jakaś kobieta się przed tłum wrywa – po sekundzie wybucha, płomienie ogarniają ludzi, budę wozu opancerzonego, który nagle przyśpiesza, tłum biegnie we wszystkie strony, krzyki, wrzaski, krew, urwane kończyny, zaraz wojsko się rozstawia, nurkuje w ten tłum, w ogóle panika, nikt nie wie, co robić. Oglądałem transmisję, mnie przy tym nie było, dopiero zacząłem walizkę rozpakowywać, telewizor gdzieś tam sobie grał, na wpół wyciszony, przypadkiem zerknąłem kątem oka – tam już zapętlili powtórkę z tragedii.

Zaraz się też wypowiadają generałowie, dowódcy, kapitanowie, że atak, kontruderzenie, wzmocnienie ochrony na granicy, dokładniejsze sprawdzanie uchodźców i imigrantów. Cały ten cyrk. Potem jeszcze kilka obrazków z frontu, jakieś fragmenty materiałów, które ostatnio puszczała Al Jazeera. Na tym materiale dziwny film: budują jakiś swój eden, czy co im tam ostatnio odwalilo, hordy półnagich robotników, cegły z gliny, wypalane w słońcu, tam gdzieś z tyłu trzech zakutanych w szmaty nadzoruje budowę wielkiego zamku. Pod spodem napisy w tych ichnich robaczkach.

Potem już tylko siedziałem na łóżku i oglądałem wiadomości. Robiono teraz zbliżenia tego ujęcia, na czerwono zakreślano kobietę, która nagle, bez żadnego ostrzeżenia – nic się nie dało wyczytać z jej twarzy – wyrwała się do przodu, wsadziła dłoń pod ubranie, cudem przemycony ładunek eksplodował.

Czekałem, aż zadzwoni telefon. Zadzwonił.

– Widziałeś?

To dzwonił Ferdek, kumpel z oddziału, on też właśnie wrócił z frontu.

– Taa. To się papie Watykan przypomniał.

– Ale będzie. Przynajmniej tym razem nic mu się nie stało. Brudasy tam pewnie płaczą teraz, będą transmitować marsze żałobne, a potem rzeź ludności okupowanej.

– To pewnie zaraz wracamy.

– A żebyś wiedział. Dzwonili już do ciebie?

– Co? Nie. Co ty gadasz w ogóle?

– Jakaś misja nowa. Niby niebezpieczna i w ogóle. Bo tam się dziwy dzieją, w sumie to do końca nie wiadomo, o co chodzi. Można iść, można nie iść, dają wybór. Ale pójdą wszyscy, do których zadzwonią. Wiesz, jak nie pójdziesz, to jesteś cykor. I takie tam. Zaraz zaczną się ploty w dywizji.

– Do mnie nikt nie dzwonił.

– Może ciebie nie chcą.

– A kto cię pytał?

– Dziadek.

– Uuu. I co powiedziałaś?

– A jak myślisz? Że jadę. Odprawa za tydzień, trzeba będzie jechać do Warszawy.

– I co, znowu strzelanie do ciapatych?

– Taa. I jakieś tam religijne głupoty. Ale żadnych konkretów. Na odprawie wszystko powiedzą.

– Pewnie płacą dobrze, skoro niby ta misja taka niebezpieczna?

– Od chuja.

– Szczęściarz.

– Się okaże, czy wrócę.

Rozłączył się, potem znowu oglądałem wiadomości, patrzyłem na częściowo wypakowaną walizkę.

Są takie chwile, gdy sobie człowiek uświadamia, że to koniec. Chwilowo przynajmniej. Że nie obudzi się już w okopie albo pod pancierzem transportera, albo w namiocie, tylko w domu, w łóżku – i za pierwszym razem w ogóle nie załapie, co się stało, gdzie jest, co się dzieje. Wspomnienia wskoczą na swoje miejsce dopiero po chwili – dom, przerwa od tego wszystkiego, od ciągłej szarpaniny: z przenoszeniem się z miejsca na miejsce, z ciapatymi, z samym sobą.

I z początku się siedzi, nie mogąc uwierzyć. A gdy już się człowiek przebudzi – to co potem? Jak wygląda życie poza frontem? Zaraz się przekonasz, podpowiada jakiś głos w duszy, a ja czekam i czekam, i mimo tego nic się nie dzieje, walizka nadal nierozpakowana: koszule jak wypatroszone wnętrzności, nabrzmiały wieloryb, któremu ktoś rozpruł bebechy.

A potem – po godzinie, dwóch? – dzwoni telefon.

To major Stefan Dziad.

– Widzieliście?

– Tak, panie majorze.

– Koniec z tym. Nie można na to pozwolić, jeszcze się któremuś uda.

– Wiadomo, kim była kobieta?

– Mamy podejrzenia. Nic pewnego, oczywiście nie dało się jej zgarnąć wcześniej, zupełnie kryta, nic, co zwróciłoby naszą uwagę... Ale dowiedcie się. Wyjaśnię wam na odprawie.

– Tak więc... mam jechać...

– Poruczniku Drozd – przerwał mu major. – Wiemy, że właśnie wróciliście. Ale polecono mi właśnie wam przekazać tę propozycję. Wy już widzieliście niebezpieczeństwo. Wiecie, co potrafi wróg.

– Stawię się, panie majorze.

- Źle rozumiecie. To nie jest rozkaz.
- Rozumiem, panie majorze.
- Zdecydujecie po odprawie. Prześlę wam wszystkie dane.
- Panie majorze, o co tam w ogóle chodzi?

Cisza w słuchawce. Dziadek nabrał powietrza, jakby szykował się do jakiejś przemowy, ale w końcu tylko je wypuścił, i rzekł:

– Zobaczycie sami.

Rozłączyłem się, spakowałem walizkę.

Jestem trepem. Żałosne.

Pusty pokój rano przeraża bardziej niż perspektywa strzelania do brudasów.

Kiedy jesteś na froncie myślisz sobie ciągle, jakby to fajnie było wrócić do kraju. Nie wiem nawet, skąd się wtedy te myśli biorą.

Baza wojskowa, i wszędzie żołnierze, i już się człowiek czuje bardziej jak w domu. To dobre dla tych, którzy nie mają co zrobić z życiem – usłyszałem kiedyś, ale nie myślałem nad tym zbyt wiele.

Dostałem przepustkę, zaraz skierowano mnie do jakichś podziemnych kompleksów, musiałem pokazywać ją każdemu wartownikowi, przykladać do każdego czytnika, jak na filmach. W końcu korytarze opustoszały, czasem tylko przemknęła jakaś postać.

Znalazłem pokój dwieście pięć, do którego miałem się udać. Zapukałem, wszedłem.

W środku zapalone światłówki, duży stół, wokół krzesła, a na ścianie monitor. Dwóch ludzi już tu było, jednego znałem.

Ferdek, który dzwonił do mnie wcześniej, wstał, podszedł i przedstawił drugiego żołnierza, którego nazywał Eustachym. Eustachy był Hiszpanem, mówił z okropnym akcentem. Miał rangę kaprała.

– Będzie nas tu więcej – powiedział, mocno akcentując pierwszą sylabę w słowie „więcej”.

– Ty, właśnie, Ferdek, gadaj, co wiesz. Bo mi nikt nic nie mówił.

– Nam też nie. No, wspomnieli, że mamy tu czekać jeszcze na kilka osób. Pewnie zaraz będą. A potem odprawa i pewnie od razu ruszymy w drogę.

– A wiesz gdzie?

– Co ty.

– Do Ameryki – powiedział Eustachy.

– Co?

– No do Ameryki.

– A po co tam?

– Dziwy się dzieją.

Dziwy – skąd on w ogóle znał takie słowa?

– Jak to: dziwy?

– To nie oglądaliście wiadomości?

– Nie.

– Tam sobie raj na ziemi robią muzułmany.

– Muzułmanie – poprawił Fredek. – I jak to raj na ziemi? W tych lejach po wybuchach wodorowych?

– No właśnie niby nie. Niby tam teraz kwitnie wszystko... albo nie kwitnie... zależy, jak oni chcą. Właśnie o to chodzi, że tam wszystko jest, jak oni chcą.

Już miałem zapytać o coś jeszcze, ale wtedy drzwi się otworzyły i weszło kilka osób. Dwóch żołnierzy, jeden koleś ubrany po cywilnemu i jeden w garniturze.

Ten w garniturze przedstawił nas sobie – ci nowi, którzy weszli, to porucznik John Cooper z USA i podporucznik Bartłomiej Święty, ten ubrany po cywilnemu to Marek Kowal. Swojego imienia nie podał.

Wymienił też imiona i rangi Ferdka, Eustachego i moje, a potem Kowal wyjął laptopa, podłączył go do ekranu i zaczął mówić, a my wszyscy siedzieliśmy i słuchaliśmy – tylko elegancki pan *nomen nescio* nie usiadł, stał pod ścianą.

– Ciężko będzie mi to wytłumaczyć. – Kowal mówił bardzo cicho. – Dla nas też jest to bardzo dziwne... mianowicie, cóż... zaczęło się, nie wiem, rok temu, wtedy właśnie udało się to zobaczyć, Rosjanie byli pierwsi, wyszpiegowali ich tam przez satelity, no i dzieje się to głównie w Stanach, chociaż czasem przenosi się do Kanady... yyy... no, proszę zobaczyć.

Włączył nam film, nagranie z telewizji. Al Jazeera transmitowała coś z jakiegoś ich starego miasta, wyglądało to, jakby się cofnęli w rozwoju tak z pięćset lat. Budowali tam wielkie fortyfikacje. Biali niewolnicy ciągnęli wielkie kamienie, opatuleni w brudne szmaty nadzorcy stali obok.

Potem włączył następny materiał: meczet, ogromny, kopuła ze złota, i masa ludzi, wszyscy się modlą, jak na komendę walą czołami w te swoje dywaniki.

– Gdzie to jest? W Jerozolimie?

– No właśnie nie. W Stanach.

– Jak to: w Stanach?

– No właśnie nie wiemy... do końca. Oni to wszystko transmitują u siebie, ostatnio zaczęli się jakby reklamować... że stworzyli raj w Nowym Świecie danym im przez Allaha, który nagroził ich za zwycięstwo nad niewiernymi, i teraz każdy prawy muzułmanin może się tam wybrać i rozpocząć nowe życie.

– Przecież oni to rozwalili w drobny mak.

– No właśnie. Niby radioaktywne pustkowia, a tu któregoś dnia obracamy tam satelitę, i proszę, po bombach ani śladu, za to kwitnie jakiś muzułmański raj.

– Mhm, prosimy dalej.

– No właśnie niezbyt mamy jakieś dalej... Nie wiemy: skąd, jak i dlaczego... czemu zniknęło promieniowanie, czemu nic im się nie dzieje, skąd wzięli środki na budowę tych wszystkich rzeczy... Tam już całe miasta, całe metropolie powstają, meczet na meczecie, i coraz więcej muzułmanów ostatnio tam przyplęwa, przesiedlają się do tego swojego raj. I jest jeszcze to...

Włączył kolejny film. Ten już był z podpisami, przetłumaczyli. Obraz się trzęsie, ktoś trzyma kamerę w ręku, nacelowaną na mordę jakiegoś brodatego brudas w arafatce. Brudas bełkocze coś, a na dole napisy: „oto jest wola jedyne boga... tak właśnie skończą wszyscy niewierni, pokarani przez aniołów, ci, którzy nie pokłonią się jednemu bogu. Allah jest wielki! Anioły stworzone są z ognia, człowiek to tylko gruda gliny!”. A potem kamera wycelowała w klęczących, zakrwawionych i spętanych jeńców; trochę przed nimi rozpalono ognisko. Przeczytałem jeszcze przetłumaczoną kolejną porcję wywrzeszczanego bełkotu – że to kismet, że tak ma być, bo tak ma być.

Widziałem już takie sceny, widziałem nawet na żywo. Tych czterech żołnierzy pewnie też. Spodziewałem się, że będą ich tam palić żywcem i obcinać im głowy. Ale nie.

Zacząli coś, jakieś modlitwy i jęki, jakby gulgotał zarzynany indor, i wtedy te płomienie buchnęły w górę, niby podlane benzyną. Dalej nie wiem, co się stało, jakiś wiatr chyba powiał, ten, który trzymał kamerę, musiał się odwrócić, widać za gorąco mu było, a gdy ponownie zaczął filmować wielkie ognisko, to już nie było ognisko, tylko żywy płomień o kształcie człowieka – zupełnie świadomy – i jakby sięgnął wielką piąchą ku tym ludziom, drącym się teraz wniebogłose. Wymieszały się te wszystkie dźwięki, jakieś śpiewy ciapatych, huk huraganowego ognia, krzyki umierających, potem znowu ten z kamerą musiał odejść, za blisko podszedł, przez

chwile widać tylko dym, piach na dole, obraz skacze, a potem znowu obraca obiektyw – tym razem na kilka zwęglonych ciał. Po ogromnym ognisku ani śladu.

– Blokujemy te transmisje – powiedział Kowal, gdy żaden z nas się nie odezwał.

– Chociaż jest ich całkiem sporo. To by mogło... sami panowie wiedzą. Blokujemy je gdzie się da, nie tylko w telewizji... jest to jednak bardzo trudne. Oczywiście nie da rady zablokować wszystkiego. Część już pewnie wyciekła do wiadomości publicznej. Co ludzie naprawdę sądzą, nie wiadomo.

– Może to tylko przypadek – mruknął Ferdek. – Złudzenie, fotomontaż.

– Jest wiele takich przypadków. Złudzeń. Takich i innych. Są nagrania, jak zmartwychwstają. Jak coraz gorsze rany im zadają, a oni wstają z martwych, a potem machają maczetami, strzelają w niebo i drą się wniebogłose, że Allah jest wielki.

– Analizowaliśmy wszystko bardzo dokładnie – powiedział ten w garniturze. – Jeśli to oszustwo, to chcemy wiedzieć, jak zrobione.

– Nie takie rzeczy na filmach pokazywali. Może tam odkopali Hollywood...

– Chyba po to, żeby drugi raz je zniszczyć ku chwale Allaha. Nie żartujmy sobie – parsknął Kowal. – We wszystkich krajach, które już podbili, nie zaobserwowano żadnych inklinacji w stronę rozwoju kinematografii. Wątpliwe, by nagle stwierdzili, że zaczną siać taką dziwną propagandę.

– W takim razie – obróciłem się do tego w garniturze – co?

– Na pewno już się wszyscy panowie domyślają. Trzeba tam polecieć i sprawdzić. Zrobić rekonesans.

– Mhm. W pięciu?

– Tak.

– Dlaczego my?

– Dokonania na frontach. Zasługi w walce z muzułmanami.

– Mielibyśmy tylko zbadać, co się dzieje? Rekonesans?

Uśmiechnął się.

– Panie... Janek Drozd, tak?

Przytaknąłem.

– Panie Drozd, doskonale pan wie, co by tam trzeba było robić. Znaleźć, rozpoznać, zanalizować.

– I w razie możliwości rozwalić.

– Oczywiście. Ale ten sprzeciw w pana głosie... pan sobie myśli, że to uganianie się za jakimiś bzdurami, prawda? Że to absurd łączyć tam po lasach i wsiach, pchać się w paszczę lwa tylko po to, żeby zobaczyć, jak powstał ten film, jakim sposobem oni tam z nuklearnego pustkowia zrobili sobie oazę – bo to przecież w ogóle niemożliwe. Może to błąd, może ten ruski satelita w ogóle się zepsuł, może to rzeczywiście jakieś złudzenie optyczne albo fotomontaż. Tak pan sobie myśli.

– Można powiedzieć, że tak sobie myślę.

– Dlatego właśnie panu powierzamy dowodzenie.

Nie przerywałem ciszy, nikt jej nie przerywał, i wszyscy patrzyli na mnie. Zaskoczeni, nie zaskoczeni? Wiedzieli wcześniej?

– Bo... bo nie wierzę?

– Bo jest pan cudownie sceptyczny. Panowie, proszę mnie źle nie zrozumieć, wiem, że jesteście pełni zapału i poświęcenia, właśnie dlatego między innymi lećcie na tę misję. Panie Drozd, pan oprócz tego również doskonale zdaje sobie sprawę z zagrożenia, które niesie ze sobą islam, został im do podbicia tylko ten kraj... i będą mieli Europę. Jednak chodzi tu o kwestię...

– Wiary – powiedział Kowal. – Sądzymy że... no, z tych innych filmów udało nam się wywnioskować... że tam też anioły się ukazywały, jakieś postaci przy niektórych imamach, po kilka aniołów, jakieś świetliste aury, niewiele widać na tych filmach... Zaraz je panom pokażę. Rzecz w tym, że tam mogło nastąpić wypaczenie rzeczywistości. Jest ona teraz bliżej... bliżej innego miejsca. To przez wybuchy.

Widzicie panowie, przy wybuchu termojądrowym to nie tylko kule ognia i fale uderzeniowe...

– Czyli co – powiedział Ferdek. – Teraz jest tam jakaś inna rzeczywistość?

– Bliżej do innej rzeczywistości.

– *Caramba*.

Potem puścił te filmy – oglądaliśmy dziwne postaci, ludzi i nie-ludzi – ale wszystkie były okropnej jakości, w paru obraz robił się po kilku minutach tak zamazany, że nie dało się niczego zobaczyć. Nie były to już materiały puszczane przez Al Jazeera, raczej po prostu rejestrowane kamerą spotkania z duchami. Taka się trochę atmosfera zrobiła, wszyscy zaraz się nachylili ku ekranowi, każdy wypatruje kształtów – tu głowa, tam ręka, tam cała postać. A to? To jest skrzydło, chyba skrzydło.

– Możecie panowie zrezygnować – powiedział na koniec koleś w garniturze. – Prosimy o decyzję jak najszybciej, ponieważ musimy powiadomić kogoś, kto was zastąpi.

Nikt nie zrezygnował.

– Cóż, panie Drozd, w takim razie zostaje pan dowódcą oddziału. Raportować będzie pan tu, do nas, do sztabu. Zespół naukowców i specjalistów postara się asystować w razie potrzeby...

Potem jeszcze wziął mnie na stronę.

– Proszę mieć na nich oko. To dobrzy ludzie. Jednak to, co tam zobaczą...

Co za dureń. Jakby to był mój pierwszy raz.

– Wiem, co robić.

– Mam taką nadzieję – powiedział bez uśmiechu. – Szczerą.

Bładym świtem wylądowaliśmy na zachodnim wybrzeżu. Przetransportowano nas najpierw do Rosji, potem z Rosji poleciliśmy hybrydą.

Lot trwał może godzinę, hybryda po dotarciu na miejsce zawisła nad trawiastą polaną – zeskoczyliśmy po kolei – potem pojazd uniósł się i odleciał, znikając nam z oczu po paru minutach.

Obładowani sprzętem, w pancerzach z leśnym kamuflażem, zaraz pomknęliśmy do najbliższego lasu – pilot bał się, że zawadzi o drzewa.

W pięciu – Ferdek, Bartłomiej Święty, którego nazywaliśmy oczywiście Świętym, John Cooper, którego przezwaliśmy Jankes, i Eustachy, który tak naprawdę nazywał się Eustaquio Coronza – znaleźliśmy się na zachodnim wybrzeżu Ameryki Północnej. Zdani na siebie, mieliśmy określić, jakie to dziwne zjawiska tu zachodzą, oraz w miarę możliwości je zneutralizować.

Święty i Eustachy z czujnikami ruchu i podczerwieni na oczach przeczesywali teren, wodząc lufami karabinów po linii drzew za polaną. Ferdek, Jankes i ja kucaliśmy nad mapą.

Dostaliśmy satelitarne wydruki, a Jankes miał mapę samochodową, ponoć bardzo dobrą, kupioną za dwa dolary na jakiejś stacji benzynowej. Każda pokazywała co innego.

– Mhm, tu powinna być droga.

– Tu, gdzie teraz stoimy?

– Tak.

– Pokaż to.

– O, tu.

– Na wydruku mamy las. Na tym nowszym, na starym też jest droga, a przynajmniej jej pozostałości. Ale nie w tym miejscu, i nie wszędzie.

– Idziemy tam – powiedziałem. – Po drodze powinno być miasteczko. Zobaczymy, co się z nim stało. Jeśli na jego miejscu też będzie las, to faktycznie nieźle się tu po tych wybuchach popierdoliło.

– A może to nie były wybuchy? Tylko odstawili następną hucpę z fotomontażami?

– I jak niby mieliby oszukać świat – powiedział Jankes – łącznie z trzystoma milionami obywateli Ameryki, że ich własny kraj został wysadzony jak Hiroszima? Widziałeś transmisje. Stany zmiotło. A teraz? Rozejrzyj się. Las. Zaraz tu na nas wyskoczą Indianie. Tak to wyglądało jakieś sześćset lat temu.

– A ty gdzie mieszkałeś?

– Nowy Jork. Wcześniej w Nevadzie.

– Nevada to jakoś blisko.

– Teraz bardziej jesteśmy w Idaho.

– Niedaleko znajdują się punkty, które oznaczono jako miejsca częstego występowania tych dziwnych zjawisk. Trzeba zbadać. Potem nadamy meldunek i może nas stąd zgarną.

– Pan, poruczniku – odezwał się z tyłu Święty – nie wierzy w sens ani powodzenie tej misji.

– Góra każe, ja robię.

– Pan nie wie, jakie ma znaczenie.

– Pewnie jak każda. Im ich więcej zdechnie, tym lepiej.

– Ta ma szczególne znaczenie dla naszych dusz, poruczniku.

– Na pewno.

– Pan sobie nie zdaje sprawy, co o tym ludzie mogą sądzić. Co już sądzą. Bo tego się nie ocenzuruje w całości. Jakiś przeciek zawsze będzie. A to w końcu złamie ludzi.

– On ma rację, Janek – powiedział Ferdek. – Bo zobacz, jeśli to pójdzie oficjalnie, jeśli wszyscy już zobaczą i uwierzą, wszyscy od nas: co sobie pomyślą? Że tam aniołowie islamu, że tam Allah raj im buduje w nagrodę za zwycięstwo nad nami, niewiernymi. A gdzie nasz Bóg? Gdzie Jezus, co ma z nieba zstąpić i Bestię pokonać? Może zstąpi właśnie, ale jako Isa, jako prorok islamu, i przeciw nam obróci swój gniew?

– Mhm, czyli tak naprawdę idziemy jako ci święci krzyżowcy? Bić się z diabłem?

– Amen – powiedział Święty.

– Przecież z naszej perspektywy to wszystko musi być sprawką diabła, *las asechanzas del diablo* – odezwał się Eustachy.

– Tak, ty będziesz naszym reprezentantem hiszpańskiej inkwizycji. Na razie jeszcze nic nie wiadomo, a wy już panikujecie. Od razu na islam przejdźcie, jak się tak boicie. No, zbierać dupy, dotarcie do tego miasta zajmie nam o wiele dłużej, niż przewidywaliśmy. Rozejrzyjcie się tylko.

I rozejrzeli się. Rzeczywiście, musiało to trwać dłużej. Nie liczyliśmy się bowiem z tym, że staniemy oko w oko z dziewiczym lasem, niczym z jakimś rezerwatem, parkiem narodowym. Tylko że tu nie było wcześniej żadnego parku narodowego. Ba, to, co tu było wcześniej, zmiotła fala uderzeniowa. Nie powinno tu być niczego, a już na pewno jakiegoś ciemnego boru.

– Oczy i uszy dookoła głowy. Zresztą sami wiecie.

Na pewno wiedzą, pomyślałem. Strzelają się z tymi brudasami od dobrych kilku lat, jak i ja. Każdy z nich zaliczył kilka frontów, czytałem ich karty, przewijał się tam front zachodnoniemiecki, środkowoniemiecki, każdy chyba był w pewnym momencie w Bawarii, Janek to nawet postrzelał się trochę w Anglii.

Wiedzieli, co potrafią muzułmanie, wiedzieli, jak działają. Zwłaszcza mając do dyspozycji to, co zdobyli w każdym z krajów, które udało im się opanować. Wiele

rzeczy zostało: całe gospodarki, całe wielkie gałęzie przemysłu produkującego broń. I spryciarze od razu to wykorzystali. Zazwyczaj wojsko nie oddawało im łatwo tego, po co przyszli, w ostatniej fazie rozpadu państwa i przerabiania go w republikę islamską armia była ostatnią ostoją wolności, szansą na ucieczkę od prawa szariatu na łono cywilizacji. Zazwyczaj jednak kończyło się na tym, że niedobitki wiały do sąsiedniego kraju, który też już był ogarnięty pożogą.

Mieliśmy w Polsce dywizję francuską, angielską, dwie niemieckie.

Moje dzielne zuchy były więc na froncie, znają się na tym, co ciapaci potrafią wymyślić. Tu nie będzie im – miałem nadzieję – tak łatwo. O wiele lepiej szła im walka w mieście, gdzie mogli nałapać sobie żywych tarcz i cywilów jako zakładników. Gubili się jednak w lasach Europy, nie był to ich teren.

Nikt jednak nie chciał się przyznać, że chwilowe *status quo* tak naprawdę nim nie jest – przewyższali nas liczebnie, z pełną świadomością tego faktu. Cierpliwości nie można było im odmówić. Nie teraz – myśleli sobie – nie za rok, może nie za pięć lat. Ale w końcu będzie nas dziesięć, dwadzieścia razy więcej niż was.

Z tego, co wyczytałem w aktach, Święty był też na krucjacie. Do Berlina, ale tej pierwszej. Ja się załapałem na drugą, lepiej przygotowaną. Co nie znaczy, że zakończoną sukcesem.

Szliśmy tak, obładowani, przez dziewicze lasy Ameryki. Przez roje much, komarów, obalone drzewa mające z tysiąc lat – dwóch machało maczetami, zmienialiśmy się co jakiś czas. Jakby tu zupełnie nie było ludzi, nigdy. O czymś takim jajogłowi w bazie nie mówili.

Na szczęście wyposażyli nas w cuda techniki – wbudowany w przedramię kombinezonu komputer wyliczył pozycję. Szliśmy strasznie wolno, do tego robiliśmy mnóstwo hałasu, przedzierając się przez chaszczce, ale nie było sensu i czasu, by szukać innej drogi. Im krócej na terytorium wroga, tym mniejsza szansa, że nas wyśledzą.

Miała tu być międzystanówka. Zamiast tego – wielki rezerwat jebanej przyrody. Jedyne, czego brakowało, to zasadzki brudasów.

Oni jednak trafili się niedługo potem. Akurat gdy las się skończył. Pierwszy wypatrzył ich Jankes.

– Tam! Padnij!

Zaraz wszyscy daliśmy nura w krzaczory, powyciągaliśmy gogle i lornetki, zaczęliśmy ich oglądać, i rzeczywiście, muzułmanie jak w mordę strzelił. Na szczycie niewielkiego wzniesienia, stało ich tam czterech, obok srebrna terenówka. Nie mieli przy sobie broni, przynajmniej nie widzieliśmy. Stali, patrzyli w naszą stronę, czasem pokazywali sobie coś palcami.

Też sobie ich pokazywaliśmy. Nie mieli szans nas wypatrzeć, nie gołym okiem, my oglądaliśmy sobie wszystko na dwudziestokrotnych zoomach.

– Zdejmujemy ich? – spytał cicho Ferdek.

– No jasne. Głupie pytanie.

– Jak?

– Szykować się. Ja biorę tego w środku. Eustachy i Święty tego z prawej, Ferdek i Jankes tego z lewej. Tylko niech któryś nie przestrzeli niechcący opony w tej terenówce. Celujcie raczej wyżej. Ten samochód to prawdziwy dar od Boga, albo Allaha. No nie krzywcie się tak. Szybko, bo nam odjadą. Na mój znak.

Wszyscy się ułożyli jak najwygodniej, powyciągali przed siebie karabiny, podokręcali celowniki optyczne, a potem, na moją komendę, jedna salwa, i trzech brudasów zważyło się na ziemię.

Potem przez jakiś czas nic, tylko śpiew ptaków, brzęczenie much, szum drzew i traw – chcieliśmy sprawdzić, czy nie wyskoczy ich więcej. Nikt się jednak nie pokazywał. Poczekaliśmy jeszcze trochę, potem wziąłem ze sobą Ferdka i ruszyliśmy w stronę samochodu, reszta nas osłaniała.

Na początku sądziłem, że ktoś jednak zacznie strzelać do nas od strony lasu – przypadliśmy z Ferdkiem do terenówki, każdy przykucnął z jednej strony, chowając się za budą i kołem; wyglądało jednak na to, że było ich tylko trzech. Przez wbudowany w kombinezon komputer wysłałem reszcie oddziału komunikat, że jest czysto. Osłanialiśmy naszych, jak schodzili. Potem obejrzeliliśmy sobie ciała.

– Ty – powiedział Jankes – muzułmanie jak muzułmanie.

– No trochę tak – zgodził się Eustachy. – Tylko bez broni.

– Raczej się tu nikogo nie spodziewali.

– Mają broń – powiedział Święty, zaglądając przez okno terenówki. – Trzy M4.

– Mhm, czyli jednak się tu czegoś spodziewali.

– Może chcieli sobie popolować. Kto ich tam wie. Oni wszędzie z tym łążą.

Albo bali się Indian. No co, skoro tu się takie dziwy dzieją, to kto wie.

– Teraz sobie przynajmniej pojeździmy.

– Kluczyki są w stacyjce – powiedział Święty.

– Może czegoś tu szukali. – Ferdek odwrócił się, spojrział tam, gdzie ciapaci patrzyli. – Co mogli sobie pokazywać? Nie nas przecież, nas by nie mieli szans wypatrzyć, oni zaś stali na otwartym terenie.

– Mmm, nic dziwnego tam nie widzę. Las. Może go chcieli, nie wiem, wyrąbać, albo podpalić, żeby było miejsce na meczet, to do nich podobne.

– Eustachy, a ty coś widzisz? Jankes?

Stanęli, spojrzeli.

– Nie, no, las.

– Mhm, dzięki.

– Ten las jest na wzniesieniu, może faktycznie chcieli go trochę wyciąć i zbudować ten swój zameczek, podobno stawiają je tu wszędzie, gdzie mogą, mamy nawet kilka takich na zdjęciach...

Chwycił nagle Ferdka od tyłu – wszyscy odskoczyliśmy, nikt się nie spodziewał, nie mogliśmy się tego spodziewać; wyjął nóż, nie przeszukaliśmy zwłok, więc stał tak teraz, przykładając ostrze do szyi Ferdka, z dziurą w głowie i w piersi, z zakrwawioną twarzą, pozlepianymi krwią włosami, ze skalpem ledwo trzymającym się czaszki – położony przez nas przed chwilą brudas, zmartwychwstał.

Bełkotał po swojemu, darł się, coraz mocniej przyciskając nóż do Ferdkowej szyi; zastanawiałem się, czy zdążę podnieść spluwę, ale wiedziałem, że bym nie zdążył, nie było na to szans; on zapewne darł się, żebyśmy tę broń rzucili, oddali mu, bo go zabije – ale wiedział, że jakby od razu poderznął Ferdkowi gardło, to zaraz sam by znowu umarł, a przynajmniej natychmiast dostałby kolejną kulkę, chociaż nie byłem pewien, czy zrobiłoby to na nim jakieś wrażenie.

W następnej chwili łeb jego muzułmański eksplodował fontanną krwi, bryzgnął mózgiem – to Święty, stojący wcześniej przy terenówce, podkradł się od tyłu, przyłożył tamtemu pistolet do skroni i wypalił.

Ferdek odskoczył, jakby go ktoś oblał wrzątkiem; mnie, Jankesa i Eustachego też ochlapała krew.

– Kurwa! – krzyknął Ferdek, ocierając oczy z lepkiej czerwono-szarej mazi. – Kurwa! Ochlapałeś mnie tym gównem!

– Faktycznie, lepiej by było, jakby ci gardło poderznął.

– Dwie dziury... miał dwie dziury, jedną w czole, drugą w sercu, dostał dwa razy, i wstał... Był martwy, przecież to niemożliwe, musiał być martwy.

– Czasem się zdarza...

– Co się zdarza? Że dostaniesz w łeb i w serce, a potem wstajesz, krzyczysz i wymachujesz nożem?

– No nie, ale że doznając ciężkiej rany, w przyływie adrenaliny...

– Ale nie po strzale w łeb!

– *Qué coño?*

– Jak na filmie.

– Sprawdźcie następnych – powiedziałem. – Walnijcie im jeszcze raz w łeb. Może jak się rozpadną na kawałki, to już nie będą wstawać. A potem zjeżdżamy stąd. I zabierzcie im noże, wszystko, co tam mają.

Przeszukali ich, pozbierali amunicję, noże, jeden miał nawet granat – na szczęście nie ten, który wstał z martwych.

Zawlekliśmy ścierwa do lasu, ukryliśmy pod gałęziami, nie było czasu, by zakopywać. Drapieżniki znajdą je prędzej czy później, ale nam to nie przeszkadzało – tylko zatrą ślady. Potem wsiedliśmy do samochodu. Ferdek z tyłu znalazł jakąś szmatę, wycierał się zapamiętane z resztek mózgu.

– Będę śmierdział.

– Mogłeś być martwy. Ciesz się, że nie zauważył Świętego.

– Ej. Dzięki, Święty. Bóg prowadził twoją rękę.

– Amen, bracie.

– A wy znowu.

– Dokąd? – spytał Janke; to jemu kazałem usiąść za kółko.

– Musimy jakoś wyśledzić, skąd tamci przyjechali. I unikać ich stałych tras. Gdziekolwiek mogą być.

Znowu rozłożyliśmy wydruk satelitarny, który wydawał się nam najbardziej aktualny.

Sprawdziłem, czy nie mieli w aucie jakiejś mapy; schowek jednak świecił pustkami, tylko skrobaczka do szyb i próbka lakieru, w dodatku innego koloru niż samochód.

– Będziemy go musieli zostawić, gdy już zbliżymy się do celu. Pojedziemy tędy, przy lesie. W razie czego potem go po prostu zamaskujemy gałęziami.

Jechaliśmy przez trawy; całkiem ładnie tam było, trzeba przyznać. Dopiero zza szyby samochodu krajobraz, przez który nie trzeba się już z mozołem przedzierać, nabiera uroku.

– Radio? – spytał Święty.

Włączyłem, i faktycznie, złapałem coś. Typowe muzułmańskie zawodzenie, od czasu do czasu wymieniane na kogoś, kto bełkotał po arabsku.

– Ktoś rozumie po ichniemu?

Wszyscy pokręcili głową. Tego się też spodziewałem. Źle się ostatnio patrzyło na kogoś, kto mówi po arabsku, nawet na froncie nie było wiele takich osób, i pilnowano ich jak oka w głowie – kto wie po czyjej stronie naprawdę stali. Paranoja przybrała całkiem spore rozmiary: ciągle podejrzenia, insynuacje, im też nie było łatwo. Kilku sobie palnęło w łeb, zwłaszcza tych śniadoskórych.

Chodziło też o to, by trudniej im było przeciągnąć nas na swoją stronę. Żeby nie mogli się z nami porozumieć, żeby nie mieli alternatywy dla zabicia nas. Żeby nie mogli nic z nas wyciągnąć. Oczywiście należało liczyć się z tym, że i tamci mieli jakichś tłumaczy, ale nieznanostwo ich języka to zawsze mniejsze ryzyko.

I żeby nas... nie nawrócili. Cóż, skoro boi się tego cała moja drużyna, to na pewno ktoś w naszym sztabie też się tego bał. Dlatego to ja zostałem szefem. I dlatego nikt z nas nie gulgotał po arabsku.

– Otwórzcie szyby. Jakbyśmy na coś wpadli, to walcie bez ostrzeżenia. Wjedziemy w nich, nawet się nie zorientują, kto ich rozwalił. Musimy korzystać z ich zaskoczenia, bo jeśli już się wywiedzą, że tu grasujemy, to koniec, będą chodzić w dużych grupach, dobrze uzbrojeni. Kto wie, może już chodzą.

Tak więc pootwieraliśmy szyby; teraz każdy siedział z karabinem przy oknie i lustrował otoczenie.

Dopiero po jakiejś godzinie natrafiliśmy na ślady ludzkiej obecności.

– Tam – powiedział Jankes, wjeżdżając gdzieś w krzaki i gasząc silnik.

Były tuż przy trasie, tuż przy granicy lasu, którą jechaliśmy – pniaki po ściętych drzewach, połamane gałęzie, wykarczowane krzaki. Wysiedliśmy i zamaskowaliśmy samochód. Srebrny lakier bił po oczach, więc trwało to dość długo – potrzebowaliśmy więcej gałęzi, a nie mogliśmy po prostu ogołocić miejsca, w którym stanęliśmy, i wrzucić wszystkich badyli na stertę.

Musieliśmy uważać – na coś im te drzewa były potrzebne, budowali jakiś meczet, wieże obserwacyjne, cokolwiek. Poszliśmy więc lasem, powoli. Wszyscy, cały sprzęt też zabraliśmy ze sobą, na wszelki wypadek lepiej było niczego nie zostawiać w samochodzie.

Nasłuchiwalismy odgłosów pracy pił motorowych, nic jednak nie dobiegło do naszych uszu, może już się stamtąd zwinęli.

Wróciliśmy na miejsce, gdzie ścięto drzewa – powalono ich sześć. Nie za dużo, nie za mało. Starając się nie zgubić śladów, wskazujących dokąd wleczono drzewo, poszliśmy ostrożnie tym tropem, wcześniej przyodzabiając się kamuflażem z chwastów i gałęzi.

Zachowywaliśmy całkowitą ciszę, Eustachy poszedł przodem jako czujka.

Po chwili wysłał wiadomość, żeby za nim podążyć, bo znalazł coś dziwnego.

Zapadł gdzieś w krzaki, podeszliśmy po cichu, a potem, leżąc w chaszczach na skraju lasu, obserwowaliśmy przez lunety karabinów, co też Eustachy znalazł.

– No, niby miasto – stwierdził Eustachy. – Miasteczko. *Pueblo*.

– Jankes, czy to są amisze?

– Nie. Znaczy, nie wygląda.

– Bo przecież oni tak niby z dala od cywilizacji.

– Taa... Ale ci tu nie ubierają się jak amisze. Patrz, ten jest stary i nie nosi takiej brody, jaką powinien mieć amisz. Już by go wyklęli. O, a tamten ma strzelbę. Amisze to pacyfiści. Żadnej broni. To wygląda bardziej jak... jak rekonstrukcja osady sprzed trzystu lat.

– Albo i nie rekonstrukcja.

– Co robimy?

– Jak to co? – prychnąłem. – Idziemy. To nie muzułmanie.

Rzeczywiście, nie było tam żadnego brudasa.

Wstałem, zarzuciłem karabin na ramię, i ruszyłem w stronę osady. Oddział poszedł za mną. Nie oglądałem się.

Schodziliśmy z góry, tak by dokładnie nas widzieli. Zauważyli oczywiście niemal od razu, kilku się skrzyknęło, pokazali nas sobie, potem rozbiegli się do domów.

Osada – kilkanaście domów, do tego stodoły i chlewy – została zbudowana wzdłuż czegoś, co można nazwać ulicą. Była to przeorana koleinami, szeroka droga, która podczas deszczu zapewne zmieniała się w potok błota.

Miałem nadzieję, że zrozumieją, iż nie mamy wrogich zamiarów. Może to rzeczywiście wspólnota kogoś w rodzaju amiszów, dziwna anomalia, albo ludzie, którzy z jakiegoś powodu zostali zmuszeni odgrywać tu tę szopkę – wśród dziczy, bez samochodów, elektryczności.

Naturalnie łapali za to, co mieli pod ręką: na zoomach oglądałem jakieś strzelby, flinty, rewolwery; chowali się potem z tym w domach, wystawiając lufy z okien. Ale nie strzelali.

Kilku wyszło nam na spotkanie. Nie podchodziliśmy za blisko, stanęliśmy kilkaset metrów od osady. Niech się naradzą, zdecydują.

– Janek – powiedział Ferdek. – Po co my do nich w ogóle idziemy?

– Zasięgnąć języka chociażby. Może się tu zetknęli już z brudasami. Może się z nimi strzelali. Poza tym... nie dziwne? Taka osada, tutaj, gdzie na dobrą sprawę powinny być ruiny jakiegoś miasta... Co tu się stało? Może coś wiedzą... zobaczymy.

Było ich trzech. Szli powoli; pierwszy ksiądz, w czarnej sutannie i koloratce, za nim dwóch uzbrojonych mężczyzn, jeden w strzelbę – przewieszoną przez ramię – drugi z rewolwerem u pasa. W zniszczonych ubraniach, jeden miał słomiany kapelusz.

– Kimże jesteście, przybysze? – zaczął kapłan.

Ciężko było ich zrozumieć. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedział, strasznie bełkotał, to nie był angielski z moich czasów. Na szczęście mieliśmy ze sobą Jankesa, który też często się krzywił, słuchając ich mowy.

Przyglądali się naszym kombinezonom i broni, wypchanym różnorodnym sprzętem plecakom, wszystkim gratom, którymi się obwiesiliśmy.

– Przybywamy z Europy – powiedziałem.

– A jakże, znać po was.

Potem dodał coś jeszcze; spojrzałem na Jankesa.

– Pytają, że w jakim celu.

– Sprawdzić, jakie spustoszenia poczynili niewierni – powiedziałem po angielsku, nie kazałem Jankesowi tłumaczyć.

Ksiądz musiał zrozumieć, że nie za dobrze mówimy w ich języku. Wysławiał się teraz wolniej, tak że łatwiej dało się go zrozumieć, dobierał prostsze wyrazy.

– Sprawiedliwość niebieska was tu zesłała! Aniołowie tedy czuwają nad nami, pobożnym ludem. Mahometanie niby zaraza po kraju się rozplenili, sprostać im niepodobna.

– Będziemy wdzięczni za informację, gdzie się skrywają.

– Wszelkiej pomocy wam udzielim, skoroście na chwałę Pana przyszli ich gromić. Aniołowie niechybnie w bezpieczeńcu ku nim was poprowadzą, a jeśli trzeba, to i w bój powiodą. Chodźcie, ugościm was.

Wskazał gestem, potem odwrócił się i ruszył powoli. Poszliśmy za nim w milczeniu.

Chłopcy popatrzyli na mnie, potem na nich. Cóż, to mogła być pułapka, mogli nas tutaj wszystkich wystrzelać, wkraczaliśmy w zasięg tych ich starych strzelb. Jednak nie palili się do strzelania, a gdy zobaczyli, że prowadzi nas ksiądz, zaraz wyszli z domów, stanęli na werandach. Potem zaczęli się złazić bliżej.

Wtedy ksiądz stanął, jak już nas taka dość pokaźna grupka otoczyła, wznosił ręce, pokazał na nas, powiedział coś głośno, ludzie pokiwali głowami, a Janek streścił, że kapłan mówi, by się nas nie bać, bo to pewnie aniołowie nas zesłali, byśmy pomogli im bronić się przed niewiernymi.

Zaprowadzili nas do kościoła – dużego budynku z dzwonnica i krzyżem. Weszliśmy do środka – prosty ołtarz, topornie zbite ławy.

– Janek, to może być jakaś lipa – szepnął po polsku Ferdek. – Zaraz tu się zrobi gorąco, gdy odkryją, że nie przysyłały nas żadne anioły czy co tam...

– Potrzebujemy informacji. To nie są muzułmanie, a wręcz mają z nimi na pieńku, są uzbrojeni, i w ogóle w miarę czujni. Jak się tu uchowali, nie wiem, ale na pewno wiedzą coś ciekawego. Warto zaryzykować.

Stanęliśmy przed ołtarzem, ksiądz i tamci dwaj przeżegnali się, Święty, Eustachy i Janek także.

– W zlej godzinie przybywacie. Jednak jeśliście zaprawdę przybyli, by pokarać niewiernych...

Nic nie powiedziałem, chociaż wcześniej o żadnym masowym karaniu nie było mowy, tylko o rekonesansie.

– Udzielim wam pomocy – powtórzył jeden z towarzyszy księdza, ubrany w zniszczone, połatanie portki, trzymające się na przetartych szelkach. – I wskażem, gdzie ich znajdziecie.

– Drzewa, któreście pewnikiem przy drodze widzieli, na palisadę ścinamy – podjął ksiądz. – Nieczęsto to bywa, że trapią nas mahometanie, ale gdy razu pewnego przybyli, to z orężem straszliwym i machinami z piekła rodem. Jenó z anioła pomocą ich odparliśmy. Modlitwami naszymi przywołan, odegnał niewiernych mieczem i pożą. Teraz wszelako...

Wyrażnie zmieszał się, wbił wzrok w krzywe dechy podłogi, trwała cisza. Przerwał ją on sam, podnosząc smutne oczy.

– Teraz wszelako kapliczkę zdobyli. Kto wie, co będzie, jeśli świętość jej splugawili... Kto wie, czy Bóg nie pokara nas za to, że pozwoliliśmy im ją zbezczęścić...

Spojrzałem po moich towarzyszach. Może źle zrozumiałem, może już mu się w głowie przewracało; przecież jest księdzem w amerykańskiej zabitej dechami wiosce sprzed dwustu lat, albo przynajmniej odgrywa takiego księdza, odgrywa zresztą całkiem przekonująco. I co, zobaczył muzułmanów, że mu weszli, rozwalili wszystko do szcztu, nie tylko World Trade Center, i sfiksował?

No bo czemu miałyby mówić o aniołach?

Chyba że to, co na tych filmach... tylko że tam anioły były raczej muzułmańskie, pomagały brudasom.

Albo po prostu się przesłyszałem.

– Gdzie jest ta kapliczka?

Poszliśmy tam następnego dnia.

Amerykanie przyjęli nas całkiem miło, dali jeść – jakieś mięso, nawet dobre – dali pić, dali się wyspać na poddaszu w jednym z domów.

Nie było ich wielu. Ostatnio większość wysiłków skupiali na stawianiu palisady oraz polowaniu, i wystawianiu wart na wypadek przybycia niewiernych. Z nami czuli się jakby spokojniejsi, zwłaszcza gdy zobaczyli na piersi Świętego krzyżyk. Ksiądz długo z nim potem rozmawiał, a Jankes tłumaczył; przynajmniej się starał. Pokazywali sobie na niebo, na kościół.

Nie pytałem Świętego, o czym rozmawiali.

Dali nam nawet mapę – narysowaną węglem na kawałku wyprawionej skóry. Dało się jednak coś zrozumieć; kapliczka nie była daleko, zaznaczono ją na mapie krzyżem i jakimś podpisem, zamazanym.

Wyruszyliśmy we trzech – Ferdek, ja i Eustachy. Reszta pilnowała sprzętu, tym razem nie braliśmy wszystkiego.

Trzeba było sprawdzić, czy rzeczywiście są tam muzułmanie. Jeśli faktycznie opanowali kapliczkę, to pewnie po swojemu zleźli się całą gromadą, tak że nie dałoby się podejść na kilometr, nie wpadając na któregoś. Nie ma to jak przewaga liczebna.

Kazałem im się zgłaszać, gdyby działo się coś niepokojącego, jakby ich zaatakowali czy coś takiego. Poza tym ograniczaliśmy komunikację. Trzeba było założyć, że tamci dorwali się do czegoś, co może łamać nasze szyfry albo przynajmniej je wyśledzić – a wraz z nimi nas. Z tego powodu powstrzymywaliśmy się z meldunkami dla kwatery głównej.

Szliśmy we trzech skrajem lasu, znowu z gałęziami powpinanymi gdzie się da, rękoma i twarzami wysmarowanymi błotem.

– I co ty o tym sądzisz, Ferdek?

– Nie wiem... dziwne jakieś to wszystko. I ta wieś w środku puszczy... i że niby muzułmanie jakąś kapliczkę im zajęli.

– Eustachy?

– A może to prawda? – spytał Hiszpan. – A może tam rzeczywiście... no, anioły, demony... że niby islam... i oni myśleli, że to anioł... bo wiecie, tu anioły, tam anioły, znaczy: w chrześcijaństwie i islamie. Więc jak zobaczysz anioła albo coś, co na niego wygląda, to zastanawiasz się, jaki to anioł, nasz czy ich? Nie. Stwierdzasz – anioł. I już.

– A to może być cokolwiek.

– Ale nie fotomontaż. Bo skoro oni mówią, że...

– Z tego, co widzieliśmy, to mają mentalność zacofanych ćwoków. Albo udają tak doskonale, albo rzeczywiście stało się coś, co sprawiło, że mamy tu autentyczną społeczność sprzed dwustu lat. Takich oszukasz byle czym, projektorem holograficznym albo i zwykłym...

– I oni niby są sprzed dwustu lat, tak, a brudasy co? – spytał Ferdek. – Walili w nich z kałachów z jakiejś bryki? Bo tak to ci niby amisze opisali. I wtedy ich anioł uratował.

– Mhm, jeszcze żadnego anioła nie widzieliśmy.

– Ale widzieliśmy, jak jeden brudas wstał z martwych.

– To mógł być przypadek, jak ten jeden na milion, że matka widzi zagrożone dziecko i sama podnosi furgonetkę albo drzewo... że adrenalina...

– Po strzale w łeb?

– Adrenalina i wiara – prychnąłem. – Wiara czyni cuda. A teraz cicho. To gdzieś tam, na wprost.

Samochodu nie wzięliśmy ze względów oczywistych: żeby nie narobić hałasu, nie rzucać się niepotrzebnie w oczy i żeby ich zaskoczyć. Milczeliśmy, zbliżając się powoli. Tym ostrożniej, że z przodu dobiegły nas głosy – obserwując bacznie otoczenie, dotarliśmy do skraju drzew i skryliśmy się w krzakach.

Rzeczywiście, była kapliczka.

I muzułmanie.

Kapliczką okazał się murowany krzyż na szerokiej podstawie. Wokół niego wypalona trawa, on sam też nieźle osmalony, wszędzie popiół i nadpalone szczapy drewna. A naokoło jakichś dziesięciu biegających i gulgoczących brudasów. Pokazywali to na kapliczkę, to na wypalony krąg.

Jeden przyniósł kilka łopat, rzucił na ziemię, włączył się do dyskusji. Trochę dalej stało parę samochodów.

– Dużo ich – powiedział Eustachy.

– Idę się przyjrzeć z bliska. Wy mnie osłaniajcie. W razie czego weźmiemy ich z zaskoczenia, wystrzelamy jak kaczki, rzućcie granat w to wszystko, jak się nadarzy okazja.

– Dobra.

I poszedłem. Lazłem przez te krzaki, starając się podkraść jak najbliżej. Nie miałem szans, by cokolwiek zrozumieć; po arabsku potrafiłem powiedzieć tylko, żeby nie strzelali i że nie ma boga nad Allaha. Co też nie było dobrym rozwiązaniem – z dwojga złego, lepiej żeby cię zabili, niż pojмали.

Tymczasem jeden, stary, w brudnych długich szatach i turbanie, łąził wokoło kapliczki po wypalonej trawie, z dywanikiem pod pachą, wreszcie zatrzymał się, spojrzał przed siebie, rozłożył kocyk i klęknął.

Wysłałem Ferdkowi i Eustachemu wiadomość, żeby się szykowali – nie mogliśmy zbyt długo zwlekać, rosło niebezpieczeństwo, że nas wykryją.

Wszystko jednak było jakieś dziwne, staruch zaczął zawodzić po ichniemu, tamci stali, milcząc, dwóch wzięło łopaty.

Chwilę potem dziad się poderwał, pokazał na niebo, zabełkotał do pozostałych, zamachał rękoma. Potem pokazał w tę stronę. Zrozumiałem – coś jest nie tak.

Wtedy – terkot karabinu – Ferdek albo Eustachy. Odpowiedziały im strzały z innej strony. Ci wokół kapliczki powyciągali pistolety, paru pobiegło do samochodów po broń.

Zacząłem ich ściągać, jednego po drugim; najpierw tego starucha rozwrzeszczanego, który pokazywał to na nasze pozycje, to na samochody – dostał w łeb, przestał wrzeszczeć, wydawać rozkazy.

Natychmiast dali ognia w moją stronę – trochę na ślepo, nikt nie trafił – wycofałem się i zmieniłem pozycję. Gdzieś z tyłu, z lewej, też dochodziły strzały i krzyki, ale Ferdek i Eustachy musieli sobie radzić sami.

Wychyliłem się zza drzewa, wycelowałem, jeden z tych, którzy nie zdążyli zwać do samochodu, dostał w pierś, padł, wczepił pazury w czarną ziemię.

Schowałem się, parę pocisków uderzyło całkiem blisko. Chciałem się zerwać, uciec do swoich, zanim wrócą tamci z kałachami, albo czymś jeszcze gorszym.

A potem coś jak fala uderzeniowa. Ale bez wybuchu, bez eksplozji. Tak po prostu uderzyło, gdy się podnosiłem, ścięło z nóg; padłem w poszycie, w mchy i paprocie, przynajmniej cały się w nich schowałem. Wypadł mi karabin. Uniosłem się, rozgarnąłem krzaki, żeby go znaleźć.

Wtedy rzucił się na mnie jeden z nich, krzycząc, że Allah jest wielki – z kałachem właśnie. Biegł, wywalił serię, nie trafił chyba tylko cudem. Padłem na ziemię, odturlałem się i wyciągnąłem pistolet, dostał w łeb.

Wyrwałem mu z rąk kałasznikowa.

Znowu ich krzyki, tym razem z drugiej strony – strzeliłem za siebie, tam, gdzie zobaczyłem ruch liści, i puściłem się biegiem w stronę kapliczki, by dopaść najbliższego drzewa.

I zobaczyłem, w prześwicie między roślinnością, że tam, na polance, coś się dzieje, że jeden z brudasów klęczy na kocyku, klęczy przed jakimś potworem, przed

czarną trąbą powietrzną, która porywa z ziemi grudy gleby i resztkę trawy, w której wirują kamienie i patyki.

Wtedy uderzył kolejny podmuch, znowu mnie zmiotło – ten był silniejszy, plecami walnąłem w drzewo, pociemniało mi w oczach, znowu zgubiłem broń.

Gdy uniosłem powieki, zobaczyłem jeszcze, jak to coś przybiera humanoidalną formę, jak jednym z wirujących ramion pokazuje w moją stronę, jak ciapiaci tu biegną.

Najpierw dopadli mnie ci z tyłu, jeden chciał złapać, unieruchomić, złamałem mu rękę, dopiero drugi powalił mnie ciosem w głowę, potem uderzył znowu i jeszcze raz, i przystawili mi nóż do szyi, zaczęli wlec w stronę kapliczki, nadbiegli inni, coś krzyczeli, wiwatowali, jeden czy drugi wystrzelił w powietrze.

Przestałem czuć podmuchy wiatru, a gdy znalazłem się na polanie, nie było śladu po dziwnym zjawisku.

Dostałem jeszcze parę razy w łeb, w brzuch, zgiąłem się wpół, zaraz mnie podnieśli i pchnęli, uderzyłem o osmalony murowany krzyż.

To już koniec. Wiedziałem doskonale, co teraz będzie. Los najgorszy z możliwych. Jak cię złapią, katują, obcinają głowę, w ogóle masakra, każdy przynajmniej raz widział taki film. I po jednym miał dość. Potem w nocy, przed snem, nie można było tego wypędzić spod powiek. Człowiek wyobrażał ich sobie wokół siebie – tak jak ja teraz ich widziałem. Nachylające się brodate gęby, rozwrzeszczane, dzikie.

To nie potrwa długo, pomyślałem, dziwnie spokojnie. Minutę góra. Minutę ogromnego bólu. A może nawet krócej. Są rozgorączkowani, w takim stanie nie będą się pastwić zbyt długo. Nie to, żeby nie chcieli. Zabijają raczej niechęć. W gorączce emocji zaraz maczetą utną mi łeb, który później będą sobie podrzucać.

Miałem nadzieję, że obojętność umysłu narzuci obojętność ciała. Zdawałem sobie jednak sprawę, że to daremne. Kiedy pojawi się ból, puszcza wszystkie tamy,

choć nie wiem, czy zdążę choćby krzyknąć, gdy będę już w połowie zdekapitowany, maczeta wzniesiona do powtórnego ciosu – ten moment w wyobrażeniach zawsze jawił się jako najgorszy.

Potoczyłem po nich wzrokiem – wszystko się dziwnie przeciągało. Bardzo chciałem, żeby już się skończyło – jak w szkole, kiedy byłem dzieciakiem i miałem coś przeczytać publicznie. Moja kolej wciąż nie nadchodziła, czekałem wiecznie, o wiele dłużej niż na próbie generalnej i wszystkich innych próbach. I strach tuż przed wyjściem, i jak wychodziłem przed tłum. Ten sam strach.

Wszystko zdarzyło się równie szybko jak wtedy w szkole. Wyszedłem, powiedziałem, umarłem.

Pchnął mnie jeden z nich, oparłem się o krzyż. W dłoniach drugiego zobaczyłem kałasznikowa, a na nim bagnet.

Mój Boże.

Krzyżąc, zamachnął się. Zaraz mi wypruje bebechy.

Odwróciłem głowę. Nie chciałem patrzeć. Sam zmysł czucia wystarczy, tylko ból, będzie lżej, łatwiej po prostu znieść męczarnię bez świadomości, że na ziemi leżą twoje własne jelita.

Uniosłem więc wzrok, a nade mną było jakieś inne słońce, niżej zawieszone. Ciepłejsze.

Słońce i niebo bez chmur (a jeszcze przed chwilą ledwie zza nich wyglądało). Słońce grzało twarz, co mogłoby być prawie przyjemne.

Odruch – odwróciłem głowę, mimowolnie, by spojrzeć, co się dzieje, gdzie ten bagnet, którego tak wyczekiwałem (mięśnie brzucha napięte, zupełnie bezsensownie).

Ale tam już nie kałach, nie bagnet. Tam nie muzułmanin. Tam żołnierz rzymski, a w jego dłoniach włócznia. Włócznia, która w końcu przesywa mi bok.

Nie miałem siły krzyknąć, tylko targnąłem głową, jeszcze bardziej do tyłu, widzę czubek krzyża, krzyża, o który się opierałem, do którego mnie przybito.

Longinus wyszarpnął włócznię z mego ciała.

A gdy spojrzałem na niego po raz kolejny, zobaczyłem, że to nie Longinus, tylko zwykły brudas, że kałach obłany ma szkarłatem. Że wcale nie patrzę już na niego z góry, że teraz osuwam się na ziemię, a nagle wolnymi dłońmi – czy były wcześniej skrepowane? – mogę złapać się za bolący bok. Krew leciała przez palce.

Dziwna wizja zniknęła. Zostały tylko kolejne ciosy. Ale chciałem jeszcze raz spojrzeć na to dziwaczne słońce, sprawdzić, czy jeszcze tam jest. I było, spojrzałem, było, wielkie, nisko nad ziemią, ponad czarnym krzyżem. Mrużyłem oczy, i ten obraz był ostatnim, co wypaliło mi się pod powiekami, nim je zamknąłem.

Potem było przebudzenie.

Śpiew ptaków.

Światło prześwitywało przez liście, zamknąłem oczy, przebijało się przez powieki, odwróciłem głowę.

Wilgotna ściółka na policzku.

Spróbowałem się ruszyć, wstać – ból w nodze, ból w ręce, ucisk w czaszce, jakby mi bok obcęgami poszarpali.

A potem sobie przypomniałem.

Gdy już oczy nawykły do światła, rozejrzałem się ostrożnie (jakby ktoś do głowy szkła nasypał). Wykopali dół, zasypali i przygnietli kamieniami. Teraz kamienie leżały rozrzucone na boki. Kombinezon zdjęli, zostałem tylko w spodniach moro i koszulce, brudnych od ziemi i krwi, która już dawno zaschła.

Dotknąłem czoła, musieli mi głowę rozbić, czy coś takiego, krew miałem na całej twarzy (albo błoto i brud), wszędzie strupy. Przekręciłem się z sykiem, wszystko bolało, jakby mnie ktoś skopał.

W końcu wstałem, podpierając się o najbliższy kamień, i zaraz na nim usiadłem, objąłem głowę dłońmi.

Gdy trochę przestała boleć, potoczyłem wzrokiem wokół. Nie zawlekli mnie daleko, ujrzałem znajomą polanę, wypaloną trawę w liściastym prześwicie. Podniosłem się, wziąłem jakiś kij i podpierając się, ruszyłem powoli w tamtą stronę.

Po kapliczce tylko ślad, parę cegieł tu i tam, wbitych w ziemię. Musieli wysadzić. Czarna ziemia całkiem przeorana, trzy doły, trzy hałdy ziemi. Kopali.

Ale nie znaleźli. Nie znaleźli, więc poszli dalej.

Zacząłem iść w stronę wioski. Widziałem ślady opon, pozrywaną trawę. Mieli chyba nawet jakiś wóz opancerzony, gaśnice zostawiały wyraźny ślad.

Nie słyszałem ich. Wokół nic, tylko śpiew ptaków, szum wiatru. Tak jak powinno być.

Tak jak stworzył tę krainę Bóg.

Wiedziałem, co zastanę, nie pomyliłem się – zwęglone resztki domów, w ścianach, które się ostały, dziury po kulach. Gdzieniedzie placki nagiej gleby, bez wątplenia wyrwane przez granaty. Kto rzucił? Chyba nasi, wnioskując po miejscach eksplozji. Coś się ostało: zwęglona dzwonnica z czarnym krzyżem na tle białych chmur, przez które co rusz prześwitywało słońce. Patrzyłem na nią przez długi czas.

Czekałem, to było najrozsądniejsze.

Gdy usłyszałem kroki, odwróciłem się. Nie obawiałem się, sądząc po śladach, niewierni już dawno stąd odjechali, nie mieli po co tu zostawać, skoro wszystko już wypalili.

Ferdek miał broń przewieszoną przez ramię, kombinezon nieco osmalony, dostał postrzał w ramię, bandaż był biały, opatrunek świeżo zmieniony.

Stał i gapił się głupio.

– Janek.

– Aha.

– Ty żyjesz.

Włożyłem rękę pod koszulę, pomacałem się po boku – był tam wielki skrzep. Syknąłem z bólu. Ale mogłem iść, jedynie kulałem trochę, ból nie gorszy niż przy porządnym stłuczeniu.

– Żyję.

– Jak?

– Widać spartaczyli. Zapomnieli mi obciąć głowy.

– Ale jakby zaczęli.

Dotknąłem szyi. Rzeczywiście, też skrzep, niczym czerwony stryczek.

– Ruszyli tu od razu?

– Co?

– Po tym, jak mnie złapali. Daliście radę się wycofać?

– Tak. Ale nie przyszli od razu.

– Nic się już nie pali.

– Jak to?

– Powinno się jeszcze palić, domy by tak szybko nie zgasły. Gdyby zaczęli jakoś szybciej, od razu, to może już by wszystko wygasło. A tak powinno być chociaż ciepło. Bo przecież mieszkańcy sami by tego nie podpalili... Wyprowadziliście ich, prawda?

Milczał długo, spojrzał w stronę, z której przyszedłem.

– Janek, jak myślisz, ile cię nie było?

Teraz ja nic nie mówiłem. Tu już wszystko wygasło. Dawno. Dziesiątki godzin temu.

– Ile?

– Trzy dni.

– Trzy dni?

– Tak.

Skinąłem głowę.

– Nie daliście rady się obronić? Mieli granaty zapalające? Miotacz ognia?

– Nie. To było coś...

– Ach. Wiem. Fałszywy anioł.

– Fałszywy?

– Tak. Widziałem już jednego.

– Czemu fałszywy?

– Nie pochodzi od Boga. Jest zły.

– Zły?

– Tak. Ale nie obawiaj się. Nie trać wiary. Damy radę.

Potem jeszcze raz spojrzał tam, skąd przyszedłem. Mówił powoli:

– Janek... jak ty stamtąd... znaczy...

– Byłem martwy, Ferdek.

– Martwy?

– Mhm. Zabili mnie.

– A teraz żyjesz?

– Bóg pozwolił.

– Bóg?

– Tak. Najpierw mnie zamęczyli. Pod krzyżem. Widziałem go. Widziałem Longinusa, a patrzyłem Jego oczami. A potem zmartwychwstałem.

– Zmartwychwstałeś?

– Sam mówiłeś. Po trzech dniach.

– Janek, przecież to, co widziałeś... posłuchaj, tu coś jest... przez te wybuchy, w tej ziemi. I to zmienia... nie wiem, ludzi, to zwidy jakieś, ale wszystko się

materializuje, te ich anioły, to ich wstawanie ze zmarłych, by móc od nowa walczyć z niewiernymi...

– To oni są niewierni.

– ...i to właśnie może być rezultat, że oni mają w głowie jedno, to tak właśnie zadziałało, jakoś się z ich religią sprzęgło, bo oni bardzo ściśle są z nią zżyci, tylko ona w nich siedzi. Tego mogła też doświadczyć ta kobieta, która się przy papieżu zdetonowała... mogli ją tu zabrać, a potem taką nafaszerowaną... perfekcyjna indoktrynacja, nikt nie podejrzewał... No przecież może tak być, prawda?

– Może. Zależy, jakich rozwiązań szukasz.

– Najprostszych, Janek, najprostszych. Sam pomyśl: coś w tej ziemi. Coś, co tak działa na... na akurat ten obszar naszej podświadomości. Coś zależnego od... nie wiem, od fizyki... przecież w Biblii też były te wszystkie cuda, też widywano Boga, wiele razy. Może to się znowu uaktywniło... Tak sobie myślałem, wiesz, może tam, na kontynencie, przez te kilka tysięcy lat już się wyeksploatowało. Ale tu jeszcze nie, tu jeszcze tego nie ruszyli, dopiero bomby odkryły... coś. Przecież tu też pokolenia Indian biegały, a z góry mógł patrzeć nawet Manitou. Nie sądzisz, że wcześniej by to jakoś sami zużyli? A może właśnie nie. Może tu trzeba konfliktu, może jedna religia i druga religia, albo odpowiednie myśli...

– Albo nic tu wcześniej nie było. Może po prostu teraz na nas spojrzął. Spojrzeli obaj.

– Obaj? Czyli kto?

– Szatan i Bóg.

– Ale dla muzułmanów to właśnie Allah...

– „Wielu bowiem przyjdzie pod moim imieniem i będą mówić: Ja jestem Mesjaszem. I wielu w błąd wprowadzą”. A jak nie Bóg... to co takiego?

– Ale pomyśl, mogli, prawda? Tak tej kobiecie jakoś zamieszać w głowie... Sam przyznaj, mogli?

Już stał obok, już mnie trzymał za ramię, zaglądał w twarz, przekonywał sam siebie, radził sobie jakoś z tym, że umarłem, a żyję.

– Mogli – przyznałem. – Dlatego trzeba ich powstrzymać.

– Jak niby?

– Z pomocą Boga. Ilu Amerykanów przeżyło?

– Niewielu, Janek Ale co ty... Co ci się tam stało? Nie widzisz, że jesteś jakiś... inny?

– Prowadź mnie do nich. Do tego księdza, jeśli przeżył.

– I co im powiesz?

Odwróciłem się, by spojrzeć na czarny krzyż na tle białych chmur, akurat wyrzało zza nich słońce, skapało go w złotych strugach.

– Tamci powiedzieliby, że to wszystko kismet i wola Allaha.

– A ty?

– Że przysłał mnie Bóg.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, TOMY I, II, III i IV

Jedwab i porcelana to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów. *Biały tygrys* i *Niebieski smok* (nowe wersje) oraz *Czerwony ptak* i *Czarny żółw* (prapremiery).

Dawid Juraszek: Cairen. Drapieżca.

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię CAIREN!

Dziesięć mocnych, wartkich, przebojowych opowiadań...

Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymrużeniem oka...

Dziesięć opowieści awanturnych z epoki fantastycznie sformatowanych podbojów mongolskich, a w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, groźnych monstrów, magicznych sztuk, powabnych dziewczek, literackich nawiązań, i wiele więcej.

Romuald Pawlak: Czarem i smokiem

Nie ma nic gorszego niż bolesny brak profesjonalizmu. Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może tylko wylecieć z roboty u malarza Astrogoniusza i wplątać się w kłopoty, które zaprowadzą go najpierw na dno statku, potem wydźwigną do pałacowych kajut, by znów strącić w piekielne otchłanie. Spotkane na drodze kobiety okażą się niebezpieczne, mężczyźni zechcą zabrać życie – i tylko spotkany w kolejnym więzieniu smok będzie rozumieć naszego maga.

Sojusz pogodnika ze smokiem zostanie zawarty w następujących celach: najeść się po uszy, mieć do spania wygodne łóżko, zdobywać piękne kobiety, zemścić się na Astrogoniuszu. Aha, i na podłym karle Garzfulu, który sprawił, że Rosselin został wygnany z pałacu. Jak z powyższego opisu widać, jest to śmiertelnie poważna opowieść o magii, smokach i trudach pracy zawodowej.

Szablą i wąsem. Antologia opowiadań sarmackich

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ognie i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i licho wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

Szablą i wąsem to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chełpimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

Joanna Łukowska: Pierwsza z rodu: Znajda

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Agnieszka Hałas: Po stronie mroku

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną machinę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojowniczką Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenastoletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubieżę zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Andrzej W. Sawicki: Kolce w kwiatach

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg”. Historii o tym, jak grupa XIX-wiecznych mutantów staje do walki o wolność ojczyzny.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

Marek Ścieszek: Pola śmierci

Na początku pola śmierci miały być tylko interesem, nieludzkim, bluźnierczym, ale prowadzącym do łatwego zarobku. W świecie fantasy w sprawy zwykłych ludzi lubią się jednak mieszać siły nadprzyrodzone. Przy czym nie sposób jednoznacznie stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica porządku. Nic nie jest albo czarne, albo białe. W szarościach niknie pewność co do istoty zła. Zamęt, mroczna siła stojąca w opozycji do Natury, powołuje do życia Bestię, która dzieło ludzi postanawia kontynuować na własnych warunkach. Konflikt jest nieunikniony. Jaką rolę odegra w nim człowiek zamknięty w klatce? Po której stronie opowie się tajemniczy Zakon Rycerzy Smoka? A przede wszystkim kto w tym świecie zasługuje na miano prawdziwej bestii: dziecko Zamętu czy sam człowiek? Odpowiedzi należy szukać na bezkresnych Polach śmierci...

Maciej Żytowiecki: Szuje, mątwy i straceńcy

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Dariusz Kankowski: Płacz przodków

Król spotyka dziewczynę z rasy niewolników, którą natychmiast pragnie pojąć za żonę, by spłodzić z nią dziedzica. Ale to nie bajka, tylko początek horroru. Akcja toczy się w odległych, ponurych czasach, gdzie opowieści rzadko kiedy kończą się szczęśliwie. Ciemiężeni Gi toczą beznadziejną walkę o wyzwolenie spod władzy swoich okrutnych panów, K'Anu, i ich bezlitosnego władcy, który z chwilą narodzin stał się panem całego znanego świata. Darem, który Neill otrzymał od Wszechrodziców, jest władza nad wszelkimi żywymi stworzeniami. Nikt nie może się mu sprzeciwić. A jednak Liść, prosta dziewczyna z ludu, to zrobiła. Czyżby utracił moc?

To historia walki o wolność i własną duszę, mroczna fantasy opowiadająca o odkrywaniu prawdy o bogach, przeznaczeniu i ludzkich uczuciach. Czy miłość jest silniejsza od przyjaźni, a pożądanie od lojalności? Czym uciszyć płacz przodków, wciąż rozbrzmiewający w głowie?

Martyna Goszczycka: Odrodzenie

Przedświat demonów i Zaświat nimf, barwne aury i Zwierciadła Duszy, boginie stworzone przez alchemika i bezduszne reguły Syndykatu Skrytobójców, Sny, które przerażają i fascynują zarazem. Oto świat, w którym dorasta młody demon Haru – uczy się, jak przeżyć i jak zabijać, walczy, by zostać uczniem okrutnej białowłosej. A może jest lub stanie się dla niej kimś więcej? Może on też czegoś nauczy piękną Plage...

„Odrodzenie” to mroczna powieść fantasy, pełna przemocy, śmierci, scen walki, ale także kipiących emocji, rodzących się uczuć. Autorka to absolutna debiutantka, która bez kompleksów, za to z rozmachem wprowadza nas w swój świat wyobraźni.

Dalszy ciąg Sagi w powieści „Potępienie”.

Dariusz Kankowski: Tęsknota

Zbiór dziewięciu zróżnicowanych stylistycznie i tematycznie opowiadań połączonych wspólnym motywem. Autor zabiera nas w podróż przez czasy i światy, skłania do refleksji nad naturą tęsknoty i jej implikacjami. Zbiór tworzy całość poprzez system subtelnych powiązań, odniesień, wątków – mitologicznych, baśniowych, historycznych, literackich – z przeplatającym się motywem Pięknej i Bestii, osadzonym w realiach XXI wieku.

Emma Popik: Wywiad z bogiem

Kim jest człowiek nazywany przez prosty lud bogiem? Podobno tworzy nowe byty – a to wszak robota bogów. Ale czy jest ważniejszy od wpływowego dziennikarza, który również posiada boską moc? Może wywyższać ludzi swoimi artykułami lub strącać ich w niebyt niesławy byle pomówieniem. Spotkaniu tej dwójki poświęcone jest tytułowe opowiadanie.

Bohaterowie pozostałych, podejmując decyzje, wykonując swoją pracę, wypełniając misje lub rozkazy, mają wpływ na całe miasta, kraje, a nawet planety. Albo intymniej – odmieniają los jednego człowieka, jednej miłości...

Bogowie są jak ludzie: leniwi, skorzy do wybuchów gniewu, oczekują zapłaty i sutego poczęstunku. I czynią cuda. Ludzie są jak bogowie: wszechmocni, niosą śmierć, decydują o życiu, marzeniach i wspomnieniach innych. Lecz wciąż pozostają ludźmi – ułomnymi, popełniającymi błędy, a zarazem wspaniałymi, skłonniymi do poświęceń, kochającymi życie, łaknącymi ciepła drugiego człowieka. Bo wszystko można zapomnieć, prócz miłości i tęsknoty.

Opowiadania czyta się z zapartym tchem. Z zadumą, rozbawieniem, wzruszeniem. Emma Popik jest w doskonałej formie literackiej, co udowadnia kolejnym świetnym tomem opowiadań.

Emma Popik: Na zawsze pięknie i młodzi

Ofiarowujemy czytelnikom sprawdzoną hard sf. Prezentowane opowiadania – ostre, znaczące i niezmiennie ciekawe – ukazywały się drukiem w *Fantastyce*, *Nowej Fantastyce*, *Science Fiction*, *Fantasy and Horror* oraz w osobnych wydaniach książkowych; wśród nich *Mistrz* – uznany za jedno ze stu najlepszych polskich opowiadań. Zebraliśmy je razem i wierzymy, że tą literacką ucztą zadowolimy zarówno wyrafinowanych smakoszy, jak czytelników lubiących po prostu dobrą, „męską” prozę, pełną akcji, przygód, mięsistych scen, ale niepozbawioną refleksji.

Mistrzynie Małej Apokalipsy prowadzi czytelnika do dzikich dzielnic, gdzie rządzi zdegenerowana technika, ciągnie go w podziemia kryjące gigantyczne zespoły maszyn, zamka go wraz z nimi w domu, a potem wiedzie do Terminalu, skąd zamiast do rajy obiecanej trafia do ludzkiego piekła.

Emma Popik skupia się na człowieku i jego sprawach. Choć nagi i bezbronny, oddzierany po kawałku z dumy, woli i ciała, wciąż ma marzenia i wiarę w ocalenie.

Szokujące wydarzenia, nowe światy i fascynujące pomysły – oto recepta na doskonale opowiadania.

Emma Popik: Wigilia szatana

Kolejny rewelacyjny zbiór Emmy Popik to smakowity kąsek dla pasjonatów dobrej fantastycznej prozy i mocnej hard sf, wgrzającej się w mózg i przepalającej trzewia.

Tym razem autorka wprowadza nas w świat, który zostanie zbawiony przez... Szatana. Chcesz takiej apokalipsy, takiego końca i nowego początku? Nie chcesz? A jeżeli żadna inna wyższa siła się nie kwapi? Jeżeli Opatrzność odwróciła się od świata i ludzkości?

Coś dla czytelników o stalowych nerwach. *Wigilia Szatana* to kolekcja przejmujących, mocnych opowiadań o upadku cywilizacji, słabości i błędach człowieka, o zbrodniach, które popełnia na najbliższych oraz na otaczającym go świecie. Ciebie to nie dotyczy? Więc lepiej przejrzyj się w lustrze, geniuszu. Kto oddaje własne dzieci do domu dla niepełnowartościowego materiału ludzkiego? Kto kazał przyrodę *Zapakować w pudełko* i bezwzględnie ją kontroluje, tym samym uśmiercając własny gatunek? Kto pozwala wyzyskiwać się różnym cwaniakom, nazywających uczucia *Zespołem nieprzystosowania społecznego*? Kto daje się otumaniać bankierom, maszynom, systemom, urzędowi, kto wierzy w boga wiecznych promocji? Nie wiesz? A może po prostu nie lubisz *Kłopotliwych pytań*, podważających obowiązujące prawo i naukę.

Uspakajając własne sumienie, zapewniasz, że świat nigdy nie będzie tak wyglądał. No to rozejrzyj się wokoło...

Romuald Pawlak: Rycerz bezkonnny

Nie całkiem poważna fantasy o rycerzu bezkonnym, który zaczął od dorabiania pasowaniem zwłok, zrobił krótką, ale intensywną karierę jako świecki inkwizytor, by wreszcie oddać się swemu prawdziwemu powołaniu: magii. A wszystko to za sprawą kupca, który przejął za długi rodzinny majątek Fillegana, zmuszając go do emigracji z rodzinnego Wake w Anglii na kontynent. Oto dlaczego kupiec zawsze będzie wrogiem rycerza, a rycerz krzywo spoglądać będzie na bogatego kupca... chyba że sam stanie się po stokroć bogatszy. Skoro nie całkiem poważna literatura, to należy się tu spodziewać i kultu Monty Pychotka, i morderczej mandragory, wystąpienia mumii Ramzesa XII, a nawet gadającego mchu.